Ner 24. Kraków 15 grudnia 1868. Rok III.

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów itd. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycyja dla miasta Krakowa: w księgarni **J. Czecha** hotel drezdeński.

Listy należy adresować: „do Administracyi Kaliny — w Krakowie.

Nr. 24. Ogłoszenie prenumeraty. — „O powieści i powieściopisarzach“ przez Lucyana Tomasza Rycharskiego (ciąg dalszy). — „Rękawiczki“ (nie ballada). — „Balowe rękawiczki“ obrazek dramatyczny w jednym akcie przez Wład. hr. Koziebrodzkiego. — „Z balu“ (wiersz). — Nowella hr. St. Germain. — Korespondencyja ze Lwowa. — Teatr. — Kronika. — Zarobkowe stowarzyszenie kobiet. — Zjazd kobiet w Sztutgardzie. — W sprawie równoupr. — Teofil Lenartowicz. — Wiadomości bieżące i ogłoszenia.

OGŁOSZENIE.

Przychylne uznanie i poparcie, jakiém Publiczność wydawnictwo nasze od początku zaszczyca, dodaje nam zachęty do coraz usilniejszych starań, aby pismo nasze potrzebom i słusznym wymaganiom coraz lepiéj odpowiadało. Poruszamy, o ile na to zakres pisma pozwala, wszystkie najżywotniejsze sprawy, najważniejsze narodowe i moralne zadania społeczeństwa, starając się zawsze o formę przystępną, zrozumiałą i zajmującą. Nie chcemy i nie będziemy nigdy wdawać się w stronnicze, koteryjne i prowincyonalne zawiści i polemiki, usiłując obierać zawsze stanowisko narodowe, polskie — więc o brak dobréj woli i sumienności nikt nas posądzać nie może. Niewielu nieprzychylnych odsyłamy po odpowiedź do ogółu — my będziemy odpowiadać tylko pracą — rzecz sama niechaj za nas mówi.

W nowym roku zamieścimy między innemi: **Piękna kobieta,** powieść przez ***Elpidona***— **Historya teatru** od najdawniejszych czasów.— **Obrazy** z podróży po świecie. — **Praca kobiet,** jéj potrzeba, warunki, rodzaje. — Celniejsze odczyty i t. d.

W rubryce mód podajemy ryciny kolorowe, kroje w naturalnéj wielkości — wzory robót, haftów, ubiorów. ☞ „Kalina“ jest jedyném pismem polskiém pod austryjackim i pruskim rządem, które dołącza mody.

Administracyja i ekspedycyja dla miasta **Krakowa** znajduje się od **15 grudnia 1868 r. wyłącznie tylko w księgarni *Czecha*** — hotel drezdeński, rynek. — We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w **Ajencyi dzienników *Piątkowskiego*** — i w księgarni ***Seyfart*** i ***Czajkowski***. — Nadto dla **ułatwienia** ustanawiamy ajencyje: **w Przemyślu, w Tarnowie, w Jaśle, w Bochni, w Bóbrce, w Mikulińcach, w Mielcu — w Rzeszowie, w Trembowli, w Bursztynie, w Drohobyczy, w Zaleszczykach** i t. d.

W **Poznaniu** ma naszą ajencyją **księgarnia *M. Leitgeber*.**

Upraszamy **o wczesne zamówienia.** — Listy należy adresowany do „**Administracyi Kaliny w Krakowie**“ franco.

Prenumerata w miejscu:
rocznie **6** złr. — półrocznie **3** złr. — ćwierćrocznie **1** złr. **50** c. w. a.

Z przesyłką pocztową:
rocznie **7** złr. **20** c. — półrocznie **3** złr. **60** c. ćwierćrocznie **1** złr. **80** c. w. a.

Prenumerata zagraniczna:
bez **mód** rocznie **8** złr. **30** centów w. a.

Mody i kroje
rocznie **3** złr. **70** c. — półrocznie **1** złr. **90** c. ćwierćrocznie **1** złr. w. a.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dla Prenumernjących **nuty**, p. t.: „Przebacz!“ słowa N. Nekrasowa, muzyka N. Krawcowa.

O powieści i powieściopisarzach

przez

Lucyana Tomasza Rycharskiego.

(Ciąg dalszy.)

III.

Z kolei wypada mi poświęcić kilka słów historyi romansu w Polsce, która zapewne czytelników, a szczególnie czytelniczek Polek największą wzbudzi ciekawość.

U nas nie daleko trzeba szukać początku właściwych romansów i powieści; nie mieliśmy ich prawie, gdyż ucinkowe pisma, któreby się pod pewnemi względy podciągnąć dały pod ten rodzaj, właściwie nie należą do niego. — Powieść o „Marcholcie“ bardzo dawna, nie jest oryginalną; równie jak historyja „Aleksandra macedońskiego“; próbki *Morsztyna* (prócz jednéj) ze względu na formę należą do poezyi; materyal ich nie ma nic narodowego, charakterystycznego. „Paskwalina“ tłumaczona, także pójść musi razem z przekładem „Argenidy“. Wszystko to były próbki w tym rodzaju i wszystko z obcych pobrane, przepolszczone tylko, przenicowane.

Oryginalne próby są krótkie i mało znaczące; „Torba śmiechu“, „Sakwy“, „Podróż Maćkowa“, po większéj części z epigramatycznych składają się cząstek. Ostatnia tylko ma pewien ciąg, ale sposób jéj obrobienia tak jest niesmaczny, dowcip tak nikczemny, że myśl główną, jeśli jaka była, zabija. Maciek z Chodawki, bohater powieści, nie ma żadnego charakteru, i w myśli pisarza nie miał go pewnie, jest tylko niejako lalką, którą on prowadzi, aby mógł opisywać przypadki i dzieje. Ale jakież dzieje? „Jęczmiennego świata“ po którym podróżuje. Zamki z pajęczyny, góry z mgły. ludzi poubieranych w sér, masło, mléko, trzech śledzi siedzących przy bramie miasta, bankiet piekielny u króla tego kraju, jego dwór złożony z osób tworzonych podobnież z materyałów najróżnorodniejszych. Cała „Podróż Maćkowa“ jest bajką dziecinną, i tém bardziéj zasługuje na tę nazwę, że najpilniejsze oko nie dostrzeże w niéj nawet satyry, aluzyi, celu, myśli żadnéj. A jednak jestto może pierwsza oryginalna powieść polska!... a wyszła w początkach XVII. wieku.

W XVIII. wieku przez tłumaczenia zaczęliśmy poznawać obce tego rodzaju próby: *Marmontela*, *Woltera*, *Fildinga*. — W tym czasie także pokazały się *X. Jezierskiego*: „Goworeк herbu Rawicz“ i „Rzepicha“; — potém *M. D. Krajewskiego*: „Podolanka“, naśladowanie co do myśli głównéj Woltera i innych XVIII. wieku filozofów, którzy zaczęli wnioskować z chorobliwego stanu społeczeństwa, że zbliżenie do natury byłoby lekarstwem jego najskuteczniejszém. — Pierwszym powieściopisarzem godnym zastanowienia jest *Krasicki*; jego „Historyja“, „Doświadczyński“, „Podstoli“ prawo mu zupełne do tego nadają. W „Historyi“ wciela on się w dawne wieki, stara się odgadnąć przeszłość i uczynić ją więcéj prawdopodobną, mniéj poważną, mniéj wielką, dostępniejszą. Zdaje się, że tam jest przeczucie tych zmian, jakim historyja teraz ulega, stając się co chwila bardziéj szczegółową, prostą, oczyszczoną z dziwów, dodatków i poważnéj togi Tucydydesa lub Tacyta. „Doświadczyński“ jest prawie *une pièce de circonstance*, ostatnim krzykiem starca na szaleństwo młodzieży, obywatela na bezrząd kraju. „Pan Podstoli“ jestto raczéj powieść z ekonomii politycznéj, administracyjna, utylitarna, a ten jéj cel pochłonął inne, jakieby mieć mogła. Jest ona piękną dla celu i myśli, nie dla siebie saméj. Widać w niéj ten prawy, stary charakter polskiego szlachcica, który często woli swoje mierne od cudzego dobrego, bo swoje jest swojém. Zimna rozwaga, rozumowanie panują w niéj wyłącznie. Autor zapomniał, że miał dowcip i serce, pamiętał tylko, iż miał rozum, nie wielkie tam nawet włożył koszta imaginacyi.

Na tle usposobienia moralnego wziętego od Francuzów i Niemców z początkiem tego stulecia, poczyna się u nas powieść sentymentalna. Byłto czas wielkiego ucisku i wielkiéj burzy w świecie, a umysły nie mogące się pogodzić z tą rzeczywistością, rzuciły się na idealne pole romansu i sentymentalnéj powieści, na idealne pole nowego rodzaju sielanki, stojącéj w rażącéj sprzeczności z życiem. Powieści z pod końca poprzedzającéj epoki po większéj części ckliwemi były naśladowaniami *Fenelona*, pani *de Genlis* i t. d. Jaką była poezyja, taką była powieść, takim był romans — kopiją innych. W ich ducha najprzód zawitała jakaś wygórowana, nie ludzka, nie ziemska, ckliwo sentymentalna czułość, i ta czułość (używając wyrażenia Kraszewskiego) rozlała się jak zupa rumfordzka po całéj literaturze romansowéj. Reprezentantami jéj były romanse: „Nierozsądne śluby“ *Bernatowicza*, „Julija i Adolf“ *Kropińskiego* i cały kalendarzowy szereg imion obojéj płci połączonych z sobą literą *i*, i nazwany powieścią lub romansem. Wszystkie te książki wzdychały, czytelnicy wzdychali, czytelniczki wzdychały i płakały, słowem cała ta gałąź literatury kołysała się wzdychaniem, a przecież mało kto się roześmiał, chociaż nie ma nic nudniejszego, jak wzdychanie przy papierowéj kochance. — W czasie tego wzdychania i ziewania spojrzał pochmurném okiem na czytelników i autorów polskich tłumaczony *Walter-Skot*. I wnet jakby na wróżki skinienie, pojawiły się w Polsce turnieje średniowiecznych, rycerzy, karczmy i szynki angielskie stanęły dla czytelników polskich otworem, i bardzo

słusznie! — dla pokrzepienia sił zwątlonych w nużącéj podróży od rozdziału do rozdziału. Wróżki, cyganki i wszystkie mistyczne osoby północnego poety żeglowały na łopatach z Łysćjgóry — dokąd? — zapewne za granicę po wzór do naśladowania. Nie jedno udzielne książę polskie („Władysław Łokietek“ *Wężyka*), albo tam jaki wojewodzic lub starościc śpiewać zaczęli pod oknami swoich kochanek czułe piosnki; i dlaczegóżby nie mieli śpiewać? — zasady moralności, tak długo przestrzegane w staréj Polsce, przecież nie wzbraniały jéj obywatelom śpiewać pod oknami swych najulubieńszych jakiéj ody Horacego lub psalmu Kochanowskiego!! — Do tego obrazu dodać jeszcze należy niestósowność, jakiéj wielu z naszych pisarzy się dopuściło, nadając bohaterom romansów z czasów dawnych charaktery i wyobrażenia z XVIII. lub XIX. stulecia i, sposób wyrażania dziś używany powszechnie, a będziem mieli zupełny obraz naszych romansów narodowo-historycznych — nie bez małych wyjątków jednakże. Nie przeczę tu jednak, żeby nie miały być dobrze naśladowane, twórcy ich nie kłamali nawet faktów historycznych, nie zbywało im na talencie; jedynie tylko nie chcieli lub nie mogli być oryginalnymi. Im się zdawało, jak *Niemcewiczowi*, który tłumacząc niektóre poezyje angielskie, sądził, że uczyni je krajowemi przez to, jeżeli zamiast Tamizy lub Twedu położy Dniestr albo Wisłę. Oni tak sądzić musieli, i to, można powiedzieć, było nie ostatnią przyczyną prędkiego przesycenia czytelników. — Kiedy powieść historyczna dźwigana potężnym geniuszem Walter-Skota, rozwinęła się we wszystkich ukształceńszych literaturach europejskich do nieznanych dotąd rozmiarów, nasi także pisarze zaczęli brać dowolnie z przeszłości pierwsze lepsze postacie, tylko że stawiali je wśród okoliczności również dowolnie zmyślonych i nie starali się bynajmniéj o nadanie malowidłu swemu kolorytu wieku; nawet po prostu brano te osoby i te czasy, na które nauka choćby najgłębszego badacza, nie mogła rzucić żadnego światła, gdyż żadnego nie było; ztąd i malowidło wychodziło zupełnie fałszywe i być nawet innćm nie mogło. — Nadrukowano znaczną liczbę tomów pod godłem królów, księżniczek i rycerzy rożnego wieku, lecz wszystkie te wyroby na najmniejszą nie zasługują uwagę. Do tych należą np. romanse *Wężyka* „Ruszczyc i Tarło“ *Skarbka* rozmaite „Jadwigi i Barbary“, *Wojcickiego* „Kurpie“ i inne niespamiętane Walterskotacye, nazwane tak zapewne od grubego naśladowania najpowierzchowniejszych trybów szkockiego romansopisarza; lubo najostateczniéj różnią się od niego duchem. W istocie trudno wyobrazić sobie coś materyjalniejszego jak to zewnętrzne naśladowanie wielkiego pisarza. Zdawałoby się, że cała tajemnica zostania jak Walter-Skot p r o r o k i e m p r z e s z ł o ś c i na tém zależy, ażeby pomieszać sceny, gdzie wchodzą króle i królowe, ze scenami toczącemi się między gminem, a wszystkim nadać jednostajny sposób wyrażania się nizki i głupiemi przysłowiami ozdobiony. Na nieszczęście niezgładzoną różnicę stanowić będzie między Walter-Skotem a jego naśladowcami to, że tamten jest poetą, a ci prozaiści. Jakoż w jedném słowie da się wyrazić, że dzieło Walter-Skota jest u p o e t y z o w a n i e m przeszłości, naśladowcy zaś jego u p r o z a i c z n i a j ą wybrane przez siebie części dziejów, i nieraz to, co w kronice gotowym już kolorytem błyszczy, u nich w powszedniość się zamienia. Romans ma przeznaczenie zbliżać do oczu naszych historyczne fakta ale w ponętnym pryzmacie sztuki, nie zaś w obnażeniu jakiémś jednostajnéj pospolitości. Urok romansów Walter-Skota na tém polega, że autor nie opowiada; u niego styl jest ciągłém malowidłem; z każdéj jego kartki malarz może obraz osobny zrobić. Ten więc ciąg obrazów zajmuje imaginacyę i cokolwiek przedstawia, jest zawsze zupełny, doskonały. W jednym widać głęboką znajomość serca ludzkiego, w drugim bawi siła komiczna, w trzecim barwa poetycka się podoba. Jakże podobny utwór artystyczny różni się od tych charakterów pospolitych, które niezgrabnemi są tylko wstawkami. Powtóre, dialog Walter-Skota nietylko wszędzie jest właściwy, noszący na sobie barwę wieku, akcent namiętności wprowadzonych osób, ich ukształcenia, towarzyskiego stopnia, ale nadto posuwa zawsze akcyję naprzód. Scen dialogowych używa Walter-Skot, jakby kto inny użył opowiadania. U naszych romansopisarzy był on zawsze próżną gadaniną, na ten cel tylko użytą, ażeby czytelnik nie tak rychło stanął u końca powieści. Nakoniec i téj zalety nie można przyznać ówczesnym romansopisarzom, chociaż przy tak przesadzoném pojęciu ich o historyczności dzieł, ażeby ich prace napiętnowane były duchem nowszéj dziejopisarskiéj szkoły i skrzętném badaniem szczegółów rzeczywistego życia i barw miejscowych. Patrzeli oni na literaturę zawsze przez mikroskop deklamatorów-historyków. (C. d. n.)

RĘKAWICZKI.

(NIE BALLADA.)

Już słońce chustą okryło się krwawą,
Lasy czerniejąc już na sen się kładły,
Gdyśmy wracali z *Odrzykońskich* ruin. —
Smutne to widmo przeszłości zapadłéj,
Zębate mury, niby nagie kości
Stérczą i śmierci wieje od nich groza.
Po basztach okna — niby jamy w czaszce,
Z jednego płacze pochylona brzoza,
A mgła zamczyska podnóże zaległa....

Lecz na to wszystko nie było tam czasu,
Dla nas już gwiazdka na niebo wybiegła,
I szliśmy gwarno wśród cichego lasu,
Budząc gdzieś śpiące po gałęziach ptaki. —
Trudna to rada, już to zakon taki:
Dziewczętom, chłopcom — niech cały świat płacze —
Oczy się śmieją i serce im skacze.

* * *

„A moje rękawiczki? wziął pan z kapeluszem" —
„Ja wziąłem?" — „W zamku" — „Ach klnę się na duszę
Nic nie wiem". — „Wziął pan i jeszcze pan sprzeczny",
„Wrócę się" — „W sam czas, ślicznie pan jest grzeczny;
„Teraz ręce mi zziębną — musisz pan za szkodę
„Napisać mi na zgubę rękawiczek odę".
„Odę?" — „Tak odę" — „Lecz jam nie Filonem,
„Bym tak srogą stratę potrafił opisać"....
„Ja chcę" — „Rozkaz?" — Ha, więc muszę tonem
„I manierą Filonów myśli rozkołysać,
I zaczynam:

O losie, ludożerco srogi!
Więc niczém tobie i ludzie i bogi,
Że sielankę chmurzysz wypadkiem tąk czarnym,
I robisz niewinnego mnie — kozłem ofiarnym.

O słowiki, gile po wierzbach i sosnach
Kwilcie treny żalu! Ach, paluszki małe
Co włóczką różnobarwną umieją na krosnach
W amarantowém polu puszczać orle białe,
By kiedyś na wojenkę był sztandar gotowy —
Ach odmrożą się dzisiaj te paluszki drobne —
(Bo choć palił słońcem cały dzień sierpniowy,
Lecz wieczór pewnie ma prawa osobne!)

Okropny obraz w oczach mi się miga,
Okropna klęska, jedna drugą ściga:
Zimny wiatr broi z rączkami obiema,
A rękawiczek, jak nie ma! tak nie ma!...

Mógłbym w mych rękach te rączęta schować,
I zamiast wiatru sam je ucałować,
Mógłbym — lecz próżno nadzieją się zwodzić,
Uparte rączki wolą same chodzić.

Więc klnę się! każda niech świadczy mi gwiazda:
Konia! — do miasta, nocą moja jazda,
Nie ma snu dla was kupcy i kupcowe,
Wielkie poselstwo: — rękawiczki nowe,

Tuzin — i na koń! — Niby upiór gonię,
O księżyc nie dbam, gwiazdom się nie skłonię,
Aż na „dzieńdobry" jak rycerz się zjawię,
I wielkie trofea oddaję przy kawie!

Tymczasem grzecznie przebaczenia proszę
I na „dobranoc" tę odę przynoszę,
Z małym przypiskiem: By dopełnić psoty,
Niechże z téj ody będą papiloty.

1862. *alf.*

Balowe rękawiczki.

Obrazek dramatyczny w jednym akcie

oryginalnie napisany przez

Władysława hr. Koziebrodzkiego.

(Dokończenie).

SCENA X.

Witold (sam).

Witold. Szalony pomysł!... ale cóż było robić (po chwili). O tak, pośród gwaru muzyki, w zamieszaniu tańcą łatwiéj zdobędę się na odwagę i powiem jéj... czém przepełnione oddawna moje serce.... (po chwili) A jak mnie odepchnie, o, to z rozpaczy pójdę w świat... na koniec świata!... (po chwili) Jakiż ten Albert szczęśliwy... i ma słuszność!... lecz aby jego śmiałość posiadać — trzeba mieć doświadczenia wiele!... Czyby rzeczywiście Ida była mu wzajemną — kto wie?... wszak tak lubi z nim rozmawiać... a ja?!... (zamyśla się) kobieta to jak cień od słońca, powiedział Albert!... o tak, dziś lub nigdy...

SCENA XI.

Hrabina **Ida**. **Witold**.

Hr. Ida. Bardzo przepraszam, żem tak długo dała czekać na siebie, lecz to wina mojéj panny służącéj... a gdzie pan Albert? —

Witold (n. s.). Pyta o niego?! (głośno) Pobiegł do domu po jakąś książkę, którą zapomniał odnieść...

Hr. Ida. Jakiż troskliwy. (po chwili) Niech pan siada!

Witold (pomieszany ciągle). Jak się cieszę, że widzę panią w balowym stroju... dowód, iż pani na balu będzie... prawda?...

Hr. Ida. Nie mogłam odmówić księżnéj, która była tak łaskawa, iż sama dwa razy przyjeżdżała prosić.

Witold (pomieszany). Jakto pięknie — jak szlachetnie z jéj strony — jakże jestem jéj wdzięcznym!...

Hr. Ida (n. s.). Jaki pomieszany. (głośno) Tylko jéj grzeczność zmusiła mnie prawdziwie do tego poświęcenia.

Witold. Więc to pani nazywa poświęceniem świetny bal!... rozkoszna muzyka... o!... jakże pani niepodobną do wszystkich innych kobiet!...

Hr. Ida (śmiejąc się). Ale pan zapomina, że jutro wyjeżdżam...

Witold. Jutro!... jutro!... a!... to być nie może...

Hr. Ida. Już wszystkie moje rzeczy spakowane i dla tego bytność na balu dzisiejszym jest poświęceniem z mėj strony...

Witold (pomieszany). Jutro!... jutro... ale jakże można tak niespodziewanie...

Hr. Ida. Nie lubię miejskiego życia! ten gwar ustawiczny męczy mnie i rozstraja... czuję się być nie w swoim żywiole.

Witold. Alеż to dla Lwowa — okropna, niepowetowana strata...

Hr. Ida. Pan żartuje... takie straty zapominają się prędko!...

Witold (n. s.). Gdybym się odważył (głośno) O! niech pani tak źle nie sądzi... tak niesprawiedliwie... bo!... bo pani nie wie, iż...

Hr. Ida. Nie jestem wcale zarozumiałą...

Witold (pomieszany). Panią nikt!... nikt nie zdoła zastąpić...

Hr. Ida. Bo nawet nie będzie tego potrzeby... i co mnie cieszy...

Witold. Nie rozumiem...

Hr. Ida. Bo wolę zapomnienie... jak wszystkie zastępstwa... (po chwili) Ale bal dzisiejszy ma być bardzo świetny i liczny...

Witold (pomieszany). Bardzo świetny i liczny... tylko mało osób będzie...

Hr. Ida (śmiejąc się). Jak to?...

Witold (patrząc na nią). Ale pani będzie...

Hr. Ida (n. s.). Nie rozumiem go... (głośno) Jestem już ubraną...

Witold (po chwili). O, to mi pani nie odmówi... wielkiėj prośby!...

Hr. Ida. Słucham!...

Witold. Pragnąłbym mieć to szczęście... tańczyć z panią... dziś... dziś pierwszego kadryla.

Hr. Ida (śmiejąc się). I owszem!...

Witold (z uczuciem). O! z jaką boleścią przychodzi mi na pamięć, iż to już ostatni kadryl!... który będę tańczył z panią...

Hr. Ida. Dla czegóż ma być ostatni?...

Witold. Bo z odjazdem pani... zginie wszelka nadzieja...

Hr. Ida. Tańczenia kadryla?...

Witold (pomieszany). Nie to chciałem powiedzieć, lecz już odtąd... smutek...

Hr. Ida (n. s.). Co się z nim dzieje (głośno) O, we Lwowie tancerek jest dosyć...

Witold. Ale pani nie będzie...

Hr. Ida. Pary nie braknie!...

Witold (pomieszany n. s.). Czas upływa... a nie śmiem!... (głośno) O, gdyby pani odjazd swój odłożyła... gdyby pani zmieniła projekt (patrzy na zegarek n. s.) Pięć minut!...

Hr. Ida. Czy pan się spieszy na bal?...

Witold. Nie... lecz tak... (po chwili) O, zostań pani... wszak to niebezpiecznie puszczać się w drogę... w taki czas okropny... Na takie drogi... błagam panią dla... dla pani...

Hr. Ida (n. s.). Poczciwy...

Witold (n. s.). Słucha (głośno) Niech pani nie jedzie, a my... a ja... o tak, dołożymy wszystkich starań aby pani czas uprzyjemnić we Lwowie... to...

Hr. Ida (n. s.). Taki wzruszony (głośno z kokieteryją) Słucham...

Witold. O jakże szczęśliwy jestem... O tak pani... jabym życie całe poświęcił, aby...

SCENA XII.

Ciż sami i **Albert**.

Albert (we drzwiach). Przynoszę a raczėj odnoszę pani hrabinie książkę. (do Witolda) Już pięć minut przeminęło... teraz na mnie kolej...

Witold (n. s.). Nieznośny... a miałem tyle śmiałości...

Hr. Ida. Dziękuję bardzo za pamięć... (do Witolda) Jestem bardzo ciekawą...

Albert. Czy można czego bądź zapomnieć, co tylko dotyczy pani (do Witolda) Nie namyślaj się...

Hr. Ida. A przecież wracałeś się pan po tę książkę...

Witold (pomieszany bierze rękawiczki hr. Idy ze stolika a swoje zostawia). Muszę odejść.

Hr. Ida. Pan się tak spieszy... a rozmowa niedokończona...

Witold. O!... pani...

Albert (do Witolda) Nasz układ...

Witold. Muszę...! muszę... jeszcze pójść dowiedzieć się o zdrowie pani Wilhelminy (z intencyją) lecz w kadrylu dzisiejszym rozmowy dokończę...

Albert (przerywając). Ale spiesz się dowiedzieć o zdrowie pani Wilhelminy, to twój obowiązek.

Witold (n. s.). Nieznośny!...

Hr. Ida (chłodno). A!... to nie zatrzymuję...

Witold. Lecz pierwszy kadryl...

Albert (do Witolda). Dosyć... uciekaj...

Witold. Więc pierwszy kadryl...

Hr. Ida. Nie zapomnę!...

Albert (n. s.). Zły znak (głośno) Tylko nie tańcz dziś bardzo.

Witold. Ten taniec będzie epoką mego życia.

Hr. Ida (n. s.). Nie rozumiem go...

Witold (wychodząc n. s.). A byłem już na tak dobrėj drodze!... (wychodzi).

SCENA XIII.

Hrabina **Ida**. **Albert**.

Albert (po chwili — z arogancyją). Jak położenie moje w téj chwili jest do pozazdroszczenia...

Hr. Ida (przerywając). Czy pan nie będzie dzisiaj na balu?...

Albert. Czy mi teraz bal na myśli, gdy panią widzę tak piękną, tak czarującą...

Hr. Ida. Komplementa!... o, pan wie jak ich nienawidzę...

Albert. O!... nie, pani mówię prawdę.

Hr. Ida. To tém gorzéj, bo za prawdę mogłabym się pogniewać.

Albert. Tego pani nie uczyni, bo byłoby to niesprawiedliwością.

Hr. Ida. Sąd w tym względzie do mnie należy.

Albert. To ja się odwołam do wyższego trybunału, do serca pani...

Hr. Ida (chłodno). Do tego trzeba mieć prawo!...

Albert. A gdybym pragnął te prawa pozyskać?...

Hr. Ida (stanowczo). Pańskie teoryje sprzeciwiają się temu...

Albert. Odpowiedź okrutna i niezasłużona... wszak w moim zamiarze nie ma nic niepodobnego!...

Hr. Ida (żartobliwie). Nie mogę pana dziś poznać panie Albercie...

Albert. O tak!... nagły, niespodziewany odjazd pani ze Lwowa!... przeraził mnie, a co więcéj, zdecydował!...

Hr. Ida (śmiejąc się). Przeraził, zdecydował... ale!... jakież groźne słowa... gdybym była wiedziała...

Albert (przerywając). Nie... nie... gdyż z decyzyi, z postanowienia mojego jestem szczęśliwy...

Hr. Ida (żartobliwie). Cieszy mnie to niezmiernie...

Albert. O!... pani udaje, że moich słów nie rozumie!...

Hr. Ida (naiwnie). Zupełnie nie...

Albert. A więc będę zrozumiały (po chwili z arogancyją) oświadczam się o rękę pani...

Hr. Ida (po chwili zaczyna się śmiać). Ha!... ha!... tak, dziś, w téj chwili... ha!... ha!... zaraz...

Albert (zmieszany trochę). Pani się śmieje...

Hr. Ida. Bo żart wyborny...

Albert. Na seryjo...

Hr. Ida. A pańskie teoryje?! a owa historyczna pogarda dla kobiet!...

Albert. Jesteś pani okrutną...

Hr. Ida. Mam tylko dobrą pamięć...

Albert (obrażony). Powtarzam, iż mówię na serjo... I pani méj prośby odrzucić nie może... bo nic na przeszkodzie nie stoi... Pani jesteś młodą... i ja nie stary... Pani masz duży majątek... i ja bogaty... Pani masz tytuł i ja mam go także... Oboje niezależni...

Hr. Ida (przerywając śmieje się). Ha!... ha!... więc to oświadczenie na serjo!... (udając powagę) Ale przypominam teoryje pańskie... serce kobiety zdobyć łatwo — lecz potrzeba zacząć od imaginacyi — przy oświadczeniu należy uzbroić się w pistolet... trzeba zaklęć... rozpaczy...

Albert (zmieszany) Żartowałem...

Hr. Ida. Trzeba upaść na kolana!... łzy wylewać...

Albert (mimowolnie klęka). A więc jestem na kolanach...

Hr. Ida (z powagą). Panie Albercie, żart trwa za długo...

SCENA XIV.

Ciż sami i **Zosia**.

Zosia. Już powóz zajechał, proszę pani hrabiny.

Gr. Ida (do Alberta). Czas jechać na bal.

Albert (wstając szybko). Ależ to okropne.

Hr. Ida (śmiejąc się). Nie miałeś pan pistoleta w rękach... (do Zosi) Przygotuj wszystko.

Zosia (n. s.). Pan Albert klęczał... mnie się zdaje że jutro nie wyjedziemy (wychodzi).

SCENA XV.

Albert. Hrabina **Ida**.

Albert. Pani mi odpłacasz za wszystkie szyderstwa... lecz ja odwołuję wszystko... wszystko...

Hr. Ida. Miałbyś pan za wiele pracy.

Albert. Pani tak okrutną być nie możesz (z pretensyją) Wszak wszystkie panny i wdowy na wydaniu we Lwowie byłyby szczęśliwe z mojego wyboru!...

Hr. Ida. Wiem o tém, i dla tego nie chcę unieszczęśliwić żadnéj...

Albert (z pewnością). Ja rozumiem, pani nie chcesz mi odpowiedzieć w téj chwili stanowczo!... pragniesz abym cierpiał... cierpię więc... i odchodzę lecz powrócę... powrócę niezadługo — bo chciałbym, aby dziś jeszcze świat wiedział o mojém szczęściu... Odchodzę!... przekonany, iż chwila namysłu szalę przeważy na moją stronę... Pani ręki méj odtrącić nie może...

Hr. Ida (n. s.). Niecierpliwi mnie.

Albert. Nie potrzebuję nawet wspominać jaka wesoła i świetna czeka nas przyszłość... Zimę spędzać będziemy we Lwowie...

Hr. Ida. Przestań pan.

Albert. Pyszny apartament, najpiękniejsze konie — śliczne powozy, bale, objady... salon otwarty — stroje, koronki, brylanty!... co tylko pani zażąda...

Hr. Ida (niecierpliwie). Ależ...

Albert (z uporem). W lecie podróże... brzegi Renu, Szwajcaryja, Paryż... i znów stroje i znów nowe zabawy...

Hr. Ida (z gniewem). Dosyć... A!...

Albert. Widzę, iż panią projekta moje niecierpliwią — odchodzę więc... lecz za chwilę powrócę, aby usłyszyć szczęśliwy wyrok z ust pani...

Hr. Ida (gniewnie). Nie wracaj pan, bo na bal jadę zaraz...

Albert. Nie wierzę!... (kłania się i odchodzi — n. s.) Gdzieby się mogła mnie oprzéć...

SCENA XVI.

Hrabina **Ida** (sama).

Hr. Ida (zniecierpliwiona siada). A doprawdy... iż zarozumienie jego przechodzi już wszelkie granice... (po chwili) nie poszłabym za niego za nic w świecie... (po chwili) Witold! — a prawda, czeka na mnie na balu (dzwoni) jaki Witold był pomieszany, jak głos jego drżał sympatycznie... czego on taki nieśmiały... (po chwili) Powozy!... stroje... koronki... brylanty... podróże... Paryż... jakiż ten Albert niebezpieczny... (zamyśla się) Prawda, Albert jest świetną partyją... jakżeby mi zazdroszczono!... (po chwili) Zosiu!... Zosiu!...

SCENA XVII.

Hrabina **Ida**. **Zosia**.

Hr. Ida (wstając). Podaj Zosiu kapiszon i rękawiczki...

Zosia (podając kapiszon). Już jutro nie jedziemy proszę pani hrabiny... prawda...

Hr. Ida. A to dla czego?...

Zosia (pomieszana). Myślałam... że... że...

Hr. Ida. A rękawiczki...

Zosia (podając rękawiczki). Więc jedziemy...

Hr. Ida (wkładając rękę całą w rękawiczkę). Co to jest Zosiu, to nie moje rękawiczki...

Zosia. To te, które pani hrabina złożyła...

Hr. Ida. Mylisz się, gdzież takie ogromne, szukaj...

Zosia (szukając). Nie ma innych, proszę pani hrabiny...

Hr. Ida. Szukaj... te rękawiczki jednego z tych panów... w tych jechać nie mogę...

Zosia (szukając). Nie ma nigdzie...

Hr. Ida (siadając z rozpaczą). Cóż ja nieszczęśliwa będę robić?...

Zosia (staje przed nią zakładając ręce). Albo ja wiem proszę pani hrabiny...

Hr. Ida (po chwili). A to okropne, a ja na balu być muszę!... muszę!... Witold... Albert... a!... Albert... co za zbieg okoliczności fatalny... Zosiu, idź, szukaj rękawiczek i wołaj co prędzéj Michała... (Zosia wybiega).

SCENA XVIII.

Hrabina **Ida** (sama).

Hr. Ida. Jeden z nich zamienił rękawiczki... a drugiéj pary w domu nie mam... a co począć... (po chwili) Na balu czeka Witold... tu Albert gotów powrócić... co robić...

SCENA XIX.

Hrabina **Ida**. **Michał**.

Hr. Ida. Biegnij co prędzéj do rękawicznika i przynieś mi balowe rękawiczki — tylko najmniejsze jakie mają... ale spiesz się... spiesz się mój dobry Michale...

Michał. Biegnę... i za chwilę wrócę... (wraca) a jakiego koloru...

Hr. Ida. Jasne balowe...

Michał. Już wiem... (odchodzi i wraca) A ile par...

Hr. Ida. Zlituj się, idź już!... jednę parę...

Michał. Teraz rozumiem... (odchodzi i znów wraca) a który numer.,.

Hr. Ida. Okropny jesteś! najmniejsze jakie mają... (Michał wychodzi).

SCENA XX.

Hrabina **Ida** (sama).

Hr. Ida. Na balu być muszę!... muszę!... (po chwili) Jaki Albert jest pewnym swego zwycięztwa... a więc nie — przekonam go... że bale — konie — powozy — brylanty — koronki — nie każdéj kobiecie wystarczają do szczęścia... (po chwili) A jeżeli Witold mnie nie kocha!... ah!... to zakopię się na wsi na zawsze...

Hrabina **Ida**. **Zosia**.

Zosia. Przeszukałam wszystkie szufladki... nie ma ani jednéj pary...

Hr. Ida. Boże, co robić!... co robić!...

Zosia. Ja wiem pani hrabino, że nikt inny, tylko pan Witold musiał odmienić rękawiczki... on zawsze taki zamyślony...

Hr. Ida. Co robić?... co robić?...

Hrabina **Ida**. **Zosia**. **Michał**.

Michał (zadyszany). Już jestem, proszę pani hrabiny...

Hr. Ida. No i cóż... gdzie rękawiczki...

Michał. Już wszystkie sklepy pozamykane...

Hr. Ida. A Boże... trzeba było pukać... dobijać się...

Michał. Pani hrabina nie kazała...

Hr. Ida. A to idź raz jeszcze... i rób co chcesz, a ja rękawiczki mieć muszę...

Michał. Aleź na czas taki...

Hr. Ida. Spiesz się... i przynoś rękawiczki... (Michał wychodzi).

SCENA XXIII.

Hrabina **Ida**. **Zosia**.

Hr. Ida (patrząc na zegarek do siebie). Już dochodzi dziesiąta, bal musiał się zacząć!... Witold czeka... Albert gotów powrócić... przekonany, że zostałam, ulegając jego namowom... (do Zosi) Chodźmy Zosiu jeszcze szukać rękawiczek... (wychodzą).

SCENA XXIV.

Po chwili **Witold**.

Witold (smutnie). Nie przyjechała na bal... Boże, a tyle obietnicy było w jéj słowach, tak zdawała się zajętą moją rozmową!... o kobiety!... kobiety!... (po chwili) Stało się — nie ma nadziei dla mnie!... szczęśliwy Albert — śmiałością zdobył jéj rękę!... (po chwil) Ale on jéj nie kocha — bo on żadnéj nie zdoła kochać kobiety... serce jego to wypalone ognisko!... przy którém ogrzewało się już pół świata!... (po chwili) O, dziś przekonywam się dowodnie — kobieta nie szuka prawdziwego uczucia... lecz zadowalnia się pozorem!... nie kochaj jéj... lecz rzucaj kłamane przysięgi... a twoją będzie!... ha!... ha!... (po chwili) Biedny ja z uczuciem mojém!... lecz nie takiemi kwiatami pozyskasz serce kobiety... (po chwili) Jutro wyjeżdżam... i zagłuszę ten ból serca!... (po chwili) Myślałem że Ida!... przeczuwała moje uczucia... trzeba mi było!... jak Albert rozrzucać czułemi słowami, a wtedy!... (po chwili) A!... dość tego... prawda... nie zastałem nikogo w przedpokoju... i nie mogłem oddać rękawiczek... które zamieniłem... (kładzie rękawiczki a swoje bierze po chwili, rozpatrując się dokoła z uczuciem) Po raz ostatni wychodzę z pomieszkania tego... w którém tak szczęśliwy żyłem marzeniem... (wychodzi).

SCENA XXV.

Hrabina **Ida** (wchodząc) — **Witold** (zatrzymuje się).

Hr. Ida. Pan tutaj!...

Witold. Nie mogłem się doczekać pani na balu i przyszedłem pożegnać...

Hr. Ida. Jak to?...

Witold. Przyszedłem pożegnać.

Hr. Ida. Pan odjeżdża?.!.

Witold. Odpowiadam i na zawsze!...

Hr. Ida. Zkądże tak nagły projekt?....

Witold. Tutaj żyć już dłużéj nie mogę... nie mogę.

Hr. Ida. Co się stało?... na Boga!...

Witold (z zapałem). I pani mnie pyta.... Pani, dla któréj nie mogło być tajemnicą to uczucie głębokie!... silne!... nieskończone — którém przejęte jest dla niéj całe serce moje. — Dziś wieczór miałem jeszcze nadzieję!... dziś wieczór szalony marzyłem jeszcze o zdobyciu serca pani, myślałem, że uczucie moje ciche lecz tak prawdziwe — tak bezgraniczne wywalczy mi jeżeli nie wzajemność, to chociaż współczucie... a kiedyś...

Hr. Ida (n. s.). Boże, co słyszę!... jakże szczęśliwą jestem... (głośno) Ależ...

Witold (z zapałem zapominając się coraz więcéj). O tak!... wiem, iż uczuć tych moich nie wyjawiłem nigdy!... o!... lecz pani nie wie, iż uczucia prawdziwe lękają się słów... świata... nie umiałem uczuć moich odsłonić... bo gdzież słowa takie... któreby zdołały wyjawić wszystko... czém przejęte me serce!... wolałem milczeć... bo ja panią kocham... Lecz znalazł się szczęśliwszy odemnie!... (po chwili) Wyjeżdżam więc, aby się światem całym oddzielić od tych wspomnień... i jeżeli nie zapomnieć przeszłości co niepodobne...

Hr. Ida. Ależ ja pana nic nie rozumiem...

Witold (smutnie). Szczęśliwszy odemnie zyskał względy pani.... trudno!... bądź pani szczęśliwą... to ostatnie moje życzenie...

Hr. Ida (z radością niecierpliwie) Powtarzam, nic pana nie rozumiem...

Witold. Bądź pani tak uwielbianą!... tak kochaną... chociaż wątpię, aby on...

Hr. Ida. Ależ na Boga!... kto taki?...

Witold (z goryczą). Ten, na którego padł wybór pani... ten, któren zdołał pozyskać serce pani...

Hr. Ida (z niecierpliwością). Któż to taki?

Witold. Żart bolesny!... czyż potrzebuję wymieniać...

Hr. Ida. Proszę... wymagam!...

Witold. Ten, na którego prośby... opuściłaś pani bal dzisiejszy...

Hr. Ida (śmiejąc się). Ależ ja na niczyje prośby nie opuściłam balu...

Witold. Pani urąga ze mnie!... Wszak to na prośby Alberta pozostałaś pani w domu... a czyż można dwuznacznie tłumaczyć...

Hr. Ida (śmiejąc się). Ale z kądże takie przypupuszczenie?...

Witold. To Albert postawił za dowód.

Hr. Ida (gniewnie). To pan Albert się pomylił, bo na bal nie pojechałam dotąd — dla najprozaiczniejszéj przyczyny na świecie.

Witold. Więcby...

Hr. Ida. (śmiejąc się). Nie miałam balowych rękawiczek... a ostatnia para zapodziała się dziś wieczór...

Witold. Więc to nie prośby Alberta odwiodły panią... o Boże!... co za szczęście... (po chwili — zmieszany) A ja byłem tak śmiały... lecz pani wybaczy słowom moim... lecz cierpiałem... boleść kładła mi w usta słowa...

Hr. Ida (z współczuciem) Ja się nie gniewam.

Witold. O, czy być może!... jakże jestem szczęśliwy... (klęka przed nią) O, jak ja panią kocham...

SCENA XXVI.
Ciż sami **Zosia. Michał.**

Zosia (wpadając). Już Michał powrócił...

Witold (wstając szybko). Czy mogę wierzyć?...

Hr. Ida. No i cóż...

Michał. Są proszę pani hrabiny rękawiczki, ale tylko na męzką rękę...

Hr. Ida. Niezgrabny...

Zosia (n. s. filuternie). Pan Witold — klęczał przed panią!... coś mi się zdaje, że jutro nie wyjedziemy...

Witold. To ja przez roztargnienie zabrałem rękawiczki... lecz odniosłem — (podaje rękawiczki).

Hr. Ida. Więc na bal jechać mogę... Michale, niech powóz zajeżdża... Zosiu, przynieś zarzutkę!...

Zosia (wychodząc n. s.) Taki jutro nie pojedziemy... (Michal i Zosia wychodzą).

SCENA XXVII.
Hrabina **Ida. Witold.**

Witold. Więc mi pani przebacza... więc mogę mieć nadzieję...

Hr. Ida (podając mu rękę). Wziąłeś pan już dziś moje rękawiczki...

Witold (chwytając rękę). O, niech i ręka będzie moją...

Hr. Ida (skromnie). Pan żąda...

SCENA XXVIII.
Ciż sami i **Albert**.

Albert (za drzwiami). Więc pani hrabina jeszcze nie pojechała (na głos Alberta — hr. Ida i Witold odstępują od siebie — Witold idzie w głąb sceny) (n. s. we drzwiach) A co, czy nie znam kobiety... (głośno) Szczęśliwy przybiegam na skrzydłach... jestem... O! pewny byłem, iż pani na bal nie pojedzie...

Hr. Ida. Cóż za nieomylne przeczucie...

Albert. Przybiegam więc... uradowany!... pełen nadziei...

Hr. Ida. Przybiegasz pan za późno — bo w téj chwili na bal już jadę!

Albert. Lecz pierwéj usłyszę słodki wyrok z ust pani...

Hr. Ida. Wyrok... nie miałam czasu rozpatrzyć sprawy...

Albert. To żarty...

Hr. Ida. Pan wybaczy, — lecz na bal się spieszę, panie Witoldzie, proszę o rękę do powozu...

Albert. On tutaj!... (pospiesza z ręką) Przyjm pani moje remię...

Hr. Ida. Nie mogę... Pan Witold...

Albert. Ależ...

Hr. Ida. To ramię narzeczonego!...

Albert (w osłupieniu) Narzeczonego!... co słyszę...

SCENA XXIX.
Ciż sami i **Zosia** (z zarzutką).

Zosia (podając zarzutkę) Czy jutro jedziemy, proszę pani hrabiny?...

Hr. Ida. Spytaj pana Witolda...

Witold (z radością) O!... nie pozwalam.

Zosia (klaszcząc w dłonie) Co za szczęście!...

Albert (n. s. z zarumienieniem) Ta kobieta to wyjątek z reguły.

Zasłona spada.

Z BALU.

. . . Spotkałem ją na balu z kwiatami na skroni
Wirującą szalenie walca... Włosy płowe
Ubrane w białe róże czarującéj woni
Spłynęły na jéj białe prześliczne ramiona. —

Widziałem jak omdlała na wpół — rozmarzona...
Na malutkiéj swéj rączce z lekka wsparłszy głowę,
Myślała długą chwilę wśród gwaru i wrzawy.
Dziwny kaprys kobiety!...

Naprzeciw niéj blady
Stał mężczyzna i pytał ją melancholicznie:
Czemu z nim nie raczyła tańczyć galopady,
Albo walca? — A walca tańczyła prześlicznie!

Ona nic nie odrzekła; lecz wzrok jéj był łzawy —
Odwróciła się, aby łez nie dostrzegł śladu!

Widziałem ją w modlitwie samą. — Gdy klęczała
Była podobna białym posągom niebianek.
Przy niéj leżał zdeptany róż balowych wianek
Uwiędły — jak wspomnienie szczęścia umarłego.

A kiedy twarz swą piękną zakryła rękami,
Jak po walcu na balu — tak samo płakała
Może owéj galopki, walca minionego...
Albo jakie wspomnienie żegnała tak łzawo!...

Późniéj widziałem smutną, jak z mężem pod ramię
Szła razem w dzień pogodny — była uśmiechnięta,
Więc pytałem sam siebie co w niéj ludziom kłamie:
Łzy czy uśmiech?...

Aleksander.

Nowella hr. Saint Germain.

Któż nie słyszał o hr. Saint Germain, czarodzieju i lekarzu i dworaku? U nas nawet grywają dramat, w którym on główną jest osobą. Ile razy się pojawił na dworze w Versailles błyszczał djamentami, nosił je na trzewikach, na palcach i podwiązkach i jako guziki, a tak wielkie i piękne, że nie można się było nadziwić. Jakkolwiek niektórzy wystawiają go jako oszusta, który wmawiał w naiwnych ludzi, że kilka set lat żyje, to jednak pewna, że nosił te djamenty w obec ludzi, którzy się znali na têm. Raz gdy utrzymywał, że umie plamy z djamentów wywabiać, kazał Ludwik XV. przynieść djament średniéj wielkości i pokazując mu go rzekł: Ten kamień ceniony jest na 6000 fr. — bez plamy wartby był 10,000 — czy chcesz hrabio, bym zyskał 4,000 fr.? Saint Germain popatrzał chwilę i odpowiedział: Sire, za miesiąc go odniosę. I w istocie po miesiącu odniósł go owinięty w powłokę z asbatu, po wydobyciu nie było plamy, tylko na wadze nieco stracił. Król posłał go zaraz do swojego złotnika, który bez wahania wypłacił za niego 9,600 fr. Można twierdzić, że to kuglarska sztuczka, że to był inny kamień, a jednak wiemy, że wiele dawniéj znanych, a zatraconych tajemnic natury chemia dziś odkrywa. Nadzwyczajność tego człowieka polegała więc na têm, że posiadał wiele wiadomości, ogółowi nieznanych, i że dodawał sobie uroku wszelkiemi sposobami, które na ludziach zwykle robią wrażenie. Fraszką było u niego grać na skrzypcach w sposób taki, iż się zdawało, że cała orkiestra gra, albo pisać oboma rękami, a têm samêm pismem. Pociągał też wielkim talentem opowiadania, mając zawsze minę, jak gdyby przy wszystkiêm sam był obecnym. Nie było tylko nigdzie wzmianki, żeby co pisał. Aż dopiero w pamiętnikach swoich pani Du Hausset, przełożona dworu przy słynnéj Pompadour, opowiada co następuje: Raz przyszedł Saint Germain do pani Pompadour, podczas, gdy król był na polowaniu. Prosiła go, aby jéj opowiedział zdarzenie, którêm niedawno temu tak bardzo uprzyjemnił wieczór towarzystwu u księcia Gesvres. Uprzejmy hrabia opowiedział, a Pompadour poprosiła go, ażeby jéj zechciał tę powiastkę napisać. W kilka dni przyniósł rękopism, który pozostał w rękach p. Du Hausset, i który następnie w pamiętnikach swoich umieściła.

Oto jest ta nowelka:

* * *

Markiz Saint Giles, który był na początku tego wieku posłem hiszpańskim w Hadze, pozostawał w ściśléj przyjaźni z hr. Moncada, grandem hiszpańskim i jednym z pierwszych bogaczów kraju. W kilka miesięcy po przybyciu swojêm do Hagi otrzymuje on list od hrabiego, który zaklina na przyjaźń, aby mu wyświadczył największéj wagi przysługę: „Znasz kochany markizie zmartwienie, które mnie długo trapiło, gdyż sądziłem, że imię Moncada ze mną pójdzie do grobu. Podobało się niebu, wkrótce po naszêm rozłączeniu, że wysłuchało moje życzenia i obdarzyło mnie synem. Okazywał on wcześnie wszelkie zdolności godne swojego stanu — ale chciało nieszczęście, że zakochał się w pierwszéj aktorce teatru w Toledo. Zrazu nie zważałem na to zbłąkanie się młodzieńca, który mi dotąd w niczêm nie dawał powodu do zmartwienia. Ale skorom się dowiedział, że go namiętność tak daleko popychała, że dziewczynę tę chciał poślubić, i że jéj dał na piśmie przyrzeczenie małżeństwa, prosiłem króla, aby aktorkę kazał uwięzić. Syn mój jednak, powziąwszy języka o moich krokach, uprzedził mnie i uciekł z swoją kochanką. Już więcéj jak sześć miesięcy, jak nie wiem, dokąd się udał, ale mam powody do mniemania, że znajduje się w Hadze“. Daléj prosił go hrabia, żeby kazał robić najściślejsze poszukiwania, i żeby jeżeli odnajdzie, nakłonił go do powrotu do domu. „Po słuszności należy, pisał daléj, zabezpieczyć los dziewczyny, jeżeli się zgodzi na oddanie przyrzeczenia zaślubin i pozostawiam panu ułożenie warunków, jak również wyznaczenie sumy, jaka dla syna mego potrzebną będzie, aby w przyzwoity sposób mógł się dostać do Madrytu“. Na końcu był dokładny rysopis obojga zbiegów.

Markiz zaraz po odebraniu listu wysłał gońców po wszystkich zajazdach w Amsterdamie, Rottersdamie i w Hadze, ale napróżno; nic nie odkryli. Już zwątpił o skutku poszukiwań, gdy wtêm przyszło mu na myśl użyć pewnego bardzo sprytnego francuzkiego pazia. Przywołał go i obiecał sowitę nagrodę, jeżeli mu się uda odkryć wskazane osoby. Paź przebiegał w ciągu kilku dni wszystkie publiczne miejsca bez najmniejszego skutku. Nareszcie pewnego dnia zobaczył w teatrze, w loży młodego człowieka i młodą kobietę i wziął ich na oko. Gdy spostrzegł, że ów młody człowiek widząc się uważanym, usunął się w głąb loży, nie wątpił, że odkrył, czego szukał. Nie spuścił oka z loży, śledząc za każdym ruchem. Po skończeniu sztuki czekał w kurytarzu przy bramie i uważał, że ów młody człowiek przechodząc koło niego, zakrył sobie twarz chustką, aby nie być poznanym. Paź jak gdyby nic szedł za niemi aż do hotelu Turenne, gdzie wstąpili — poczêm pewny odkrycia, pospieszył do Markiza, aby go uwiadomić.

Markiz natychmiast zarzucił płaszcz i w towarzystwie pazia i dwóch służących udał się do hotelu. Tu zapytał o pokój dwojga młodych ludzi od niedawna przybyłych. Gospodarz robił zrazu trudności, jeżeli mu nie wymienią nazwiska. Paź zwrócił mu uwagę, że mówi z posłem hiszpańskim, który ma przyczynę widzieć się z temi ludźmi. Gospodarz odrzekł, że ta para nie ży-

czy sobie być poznaną, i że zakazali wpuszczać kogokolwiek, kto nie wymieni nazwiska. Nareszcie ustąpił i zaprowadził posła na najwyższe piętro przed jedno z najuboższych mieszkań. Zapukano do drzwi — nikt nie otwierał. Zapukano mocniéj i po chwili uchylono drzwi do połowy, ale na widok posła i jego ludzi chciano znowu zamknąć, mówiąc, że to pewnie omyłka. Markiz pchnął drzwi i wszedł, nakazawszy poprzednio ludziom, aby czekali. Zastał młodego człowieka, o piękném obliczu, do którego rysopis zupełnie się stósował. Z nim była tam młoda, piękna i rosła kobieta, któréj włosy, wzrost i kształt również opisowi podanemu przez hr. Moncada odpowiadały.

Młody człowiek odezwał się pierwszy, skarżąc się na wdzieranie się przemocą do domu cudzoziemca, który zostaje w wolnym kraju i pod opieką praw. Poseł zbliżył się do niego, aby go uściskać i rzekł: Niepotrzebne maskowanie się, kochany hrabio — znam pana i nie mam wcale zamiaru, ani panu, ani téj pani jaką przykrość wyrządzić". Młody człowiek odpowiedział, że to omyłka, że nie jest hrabią, ale synem kupca z Kadyksu — i że z żoną swoją odbywa podróż dla przyjemności. Poseł rozglądał się po pokoju, gdzie zaledwie było nieco mebli i gdzie wszystko bardzo ubogi miało pozór. „Więc to tu — odezwał się potem — tu ma mieszkać syn hr. Moncady, mojego przyjaciela"?

Młody człowiek upierał się, że nie jest tym, za kogo go biorą. Nareszcie zwyciężony prośbami posła, przyznał się płacząc, że jest hr. Moncada, ale że nigdy do ojca nie wróci, jeżeliby miał opuścić kobietę, którą ubóstwia. Ona przeciwnie, rzuciła się do nóg posła i mówiła: że nie chce być winną nieszczęścia hrabiego, i że jest gotową dla jego szczęścia rozłączyć się z nim.

Poseł podziwiał tę bezinteresowność; młody człowiek jednak począł rozpaczać i robić jéj wyrzuty i zaręczać, że jéj nie opuści, bo nie chce, żeby wspaniałomyślność jéj serca miała jéj krzywdę wyrządzać. Markiz począł im przedkładać, że hrabia nie chce wcale zrobić ją nieszczęśliwą, że on ma polecenie przekazać jéj odpowiednią sumę, aby mogła żyć wygodnie, gdziekolwiek zechce, że jéj szlachetny sposób myślenia i prawda jéj miłości wzbudzają w nim najżywszą sympatyję, i że co do wysokości sumy żadnych trudności stawiać nie będzie. Przyrzekł jéj 30,000 fr. które odbierze zaraz, jak tylko zwróci pismo z przyrzeczeniem, które ma od hrabiego, a hrabia zajmie mieszkanie w domu posła i przyrzeknie wrócić do Hiszpanii.

Młoda kobieta nie zważała wcale na ilość pieniędzy — jedynie ją zajmował jéj ukochany i boleść rozłączenia z nim, okrutna ofiara, jakiéj od niéj rozum i i honor wymagał. Po chwili wyjęła z pularesu żądane pismo i rzekła: „Znałam jego serce zanadto dobrze, jak żebym tego była potrzebowała". Pocałowała z zachwyceniem papier kilkakrotnie i oddała go Markizowi podziwiającemu taką wielkość duszy. Przyrzekł jéj, że się nią zawsze opiekować będzie, a jemu, że ojciec mu przebaczy. „Jakże się ucieszy mój stary przyjaciel — i jakże ja się cieszę, że przezemnie odzyska syna".

Młody człowiek podczas tego stał w milczeniu mocno wzruszony. Markiz obawiał się zostawić ich do rana, żeby nie zmienili postanowienia i nalegał na hrabiego, żeby z nim zaraz poszedł. Nastąpiły łzy i pożegnania kilkakrotne, markiz sam rozpłakany powtarzał, że będzie jéj opiekunem.

Tego samego wieczora młody hrabia rozgościł się już w domu posła, uszczęśliwionego takim obrotem rzeczy, że słynnemu domowi Moncada wraca dziedzica imienia i dóbr.

Nazajutrz stawili się u hrabiego krawiec, kupiec, galanteryjnik i dwóch służących czekających na jego rozkazy. Markiz przynosi mu list, w którym winszuje ojcu jego takiego syna, pełnego uczuć szlachetnych. Wspomniał i o młodéj kobiecie, że jéj to wspaniałomyślności zawdzięcza poddanie się jéj kochanka, że hrabia zapewne potwierdzi dar 30,000 fr., które jéj wypłacił.

Pokończono przygotowania do odjazdu. Świetną garderobę i wyborny powóz wsadzono w Rotterdamie na okręt, który miał odpłynąć do Francyi i zabrać hrabiego — aby z tamtąd lądem wrócił do Hiszpanii. Markiz zaopatrzył hrabiego obficie w pieniądze i weksle na Paryż, pożegnali się czule i hrabia odpłynął.

* * *

Po czterech miesiącach odebrał markiz nareszcie niecierpliwie oczekiwaną odpowiedź od swojego przyjaciela z Madrytu:

„Niebo, kochany markizie pozazdrościło mi szczęścia nazywania się ojcem. Wśród bogactwa i honorów przygniata mnie troska, że nie mam dziedzica, i że ze mną wymiera sławna rodzina. Jest to najsroższa gorycz mojego życia. Widzę z wielkim żalem, że zostałeś oszukany przez jakiegoś młodego awanturnika, który skorzystał z wiadomości o naszéj przyjaźni. Ale to nie ma nic do rzeczy. Pomoc twoja, kochany markizie była ofiarowaną dla hr. Moncada — więc do niego należy zwrócić dług zaciągnięty u ciebie, zechciéj więc przyjąć dług 3,000 louisdorów, któreś wydał stósownie do mojego życzenia i z całą gotowością staréj przyjaźni.

Lwów w grudniu.

(Wieczorek w Kasynie mieszczańskiem. — Koncert Towarzystwa muzycznego. — Towarzystwo muzyczne. — Towarzystwo przyjaciół śpiewu. — Harmonia. — Concordia. — Szkoły muzyczne. — Teatr. — Nowości francuzkie. — Wojna z kuzynkiem. Żyd. — Odczyty dla kobiet. — Wykłady p. Schmitta).

(M). Bardzo popularne są u nas we Lwowie wieczorki w kasynie mieszczańskiém, a to dla tego, że pa-

nuje na nich ruch i ożywienie jak na publicznych zabawach, obok swobody, właściwéj wieczorynkom domowym — to tylko szkoda, że dość obszerny lokal kasynowy zwykle nie jest w stanie pomieścić wszystkich gości. Kasyno nasze liczy blizko 700 członków, a na wieczorki każdy z nich ma prawo wprowadzić swoją rodzinę. Łatwo więc pojąć, jak obszernego potrzebaby lokalu, aby dla wszystkich było dość miejsca. Scisk ten nie zraża jednak nikogo, bo na żadnym wieczorku nie zmiejsza on się.

Powód do tego obszerniejszego trochę rozpisania się o wieczorkach kasynowych w ogóle dał mi wieczorek połączony z produkcyją muzykalną i loteryją fantową, którym Lwowianie zakończyli czas przedadwentowy. O produkcyi muzykalnéj nie wiele mogę powiedzieć, bo szczérze powiedziawszy, nie wiele z niéj słyszałem. Z tonami muzyki mięszał się ciągle szmer sukien wprowadzanych co chwiła pań, nawoływanie o krzesła dla nich i rozstępywanie się dla zrobienia miejsca w gęstą masę zbitych kolo drzwi i po kątach mężczyzn. Przy loteryi rozprzedano wszystkie fanty niemal w kwadransie. Nie wiedzieć, co więcéj wabiło kupujących, czy gustowność rozłożonych fantów, uprzejmość i powaby sprzedających losy, czy téż chęć przyczynienia się do dobrego uczynku. Dochód bowiem przeznaczony był na cel dobroczynny — mówią, że na szkołę batignolską.

Tutejsze Towarzystwo muzyczne dało już jeden ze zwyczajnych swoich dorocznych koncertów. Jak wszystkie koncerta pod dyrekcyją p. Mikulego, tak i ten odznaczał się doborem numerów i znakomitą precyzyją egzekucyi. Żałować należy, że p. Mikuli nie ma daru popularyzowania piękna. Powszechnie bowiem uskarżają się na to, że nasze Towarzystwo muzyczne pielęgnuje muzykę niby jakiś egzotyczny kwiat w trephauzie w ciasném kole swojéj koteryi, niedozwalając téj pięknéj wychylić się z uwięzi na boży świat szeroki, aby i profani mogli rozkoszować jéj wdziękami. Już to dyrektor tutejszego Towarzystwa muzycznego wielu bardzo ma nieprzyjaciół — czy słusznie, nie chcę rozstrzygać.

Muzyka liczy jednak w naszém mieście przyjaciół nie tylko w ciasném kółku Towarzystwa muzycznego, ale mamy także niedawno utworzone Towarzystwo przyjaciół śpiewu i dwa niemieckie towarzystwa śpiewu „Harmonia“ towarzystwo męzkie, a „Concordia“ damskie. Towarzystwo przyjaciół śpiewu zakreśliło sobie piękny cel zjednoczenia w swém łonie miłośników i przyjaciół śpiewu, aby tym sposobem spotęgować i rozwijać zamiłowanie piękna. Cel chwalebny bez wątpienia, szkoda tylko, że Towarzystwo nie potrafiło dotychczas wyrobić sobie żywszego udziału w publiczności.

Oprócz tego mamy dwie większe szkoły muzyczne: edna Towarzystwa muzycznego, a druga p. Kozlowskiego. W obu udzielają nauk same znakomitości fachowe, a istniejąca między niemi emulacyja, zbawiennym jest bodźcem dla nauczycieli. I jedna i druga gorących ma zwolenników — co dobrze świadczy o obu.

Kiedy już mowa o muzyce, nie mogę pominąć milczeniem gościny p. Góreckiego, młodego skrzypka z Warszawy. Kilka razy dał on się słyszeć w naszém mieście i ogólny sąd przyznaje mu głęboką znajomość natury swego instrumentu, co grze jego nadaje wiele siły i pewności.

Goręcéj niż zwykle zajmuje się teraz niebardzo skłonna do entuzjazmowania się publiczność lwowska teatrem. Pochodzi to ztąd, że bardzo wiele dano w ostatnich czasach nowości. Oprócz obcych weszły i dwie swojskie nowości w tych czasach w repertoarz naszego teatru: komedyjka Aurelego Urbańskiego „Wojna z kuzynkiem“ i dramat p. L. Lubowskiego p. t.: „Żyd“.

„Wojna z kuzynkiem“ to utwór napisany lekko i swobodnie, odznaczający się łatwością dykcyi i znajomością efektów scenicznych, ale zresztą bez głębszéj wartości artystycznéj. Sztuczka ta zawsze jednak chętnie będzie przyjmowana przez tę publiczność, która idzie do teatru, aby się zabawić.

Dramat p. Lubowskiego „Żyd“ uwieńczyła jak wiadomo komisyja konkursowa nagrodą. Wszyscy byli więc ciekawi ukazania się jéj na scenie. Tego jéj nikt nie odmawia, że jest tam wiele ustępów porywających niemal swoją siłą i że w ogóle w każdym wierszu znać pióro wprawne — ale nie do dramatu. Zarzucają temu utworowi brak ścisłości umotywowania psychicznego, nieuzasadnione rozwlekanie aktów, a wreszcie brak naturalności barw. Jeden z członków komisyi tak o tém mówi: „Czytając jakiś utwór dramatyczny, wyobrażam sobie w myśli, jak on przedstawiałby się w wykonaniu na scenie. Czytając jednak „Żyda“ nie mógłem w fantazyi mojéj znaleść obrazu występujących w nim osób, bo są to poetyczne cienie a nie żywe charaktery“. „Żyd“ to poemat a nie dramat.

Zastrzegam się, że nie należałem do współubiegających się o nagrodę. Notuję tylko głos opinii publicznéj.

Krótko zbędę już tylko cały szereg najrozmaitszych odczytów. Pierwsze tu miejsce należy się niezaprzecze-nie popularnym odczytom dla kobiet w sali ratuszowéj. Najlepszym dowodem ich wartości jest to, że wielka sala ratuszowa wraz z galeryjami jest pełna — i to co dzień przez dwie godzin. Czy Kraków może pochwalić się czémś podobném?...

P. Schmitt ma także swoją publiczność — niestety nie bardzo liczną, która wytrwale słucha jego wykładów o najboleśniejszéj epoce dziejów naszych. P. Schmitt nie ma daru ożywienia tego o czém mówi, ale sam przedmiot jego tak żywo musi ogarniać myślą każda

polska dusza, że nie potrzebuje on oratorskiego efektowania.

O innych odczytach już chyba późniéj napiszę, bo dziś i tak rozpisałem się może zanadto szeroko.

TEATR. Z podręcznika do nauki języka polskiego dla Niemców z r. 1740 podała niedawno temu „Gazeta Toruńska“ następującą rozmowę: Gdzie i jakie komedyje grywano przed 150 laty w Gdańsku?

— Dzisiaj po obiedzie będą grać komedyją.

— A z kądże to wiesz?

— Przybito kartę do drzwi kościelnych, do bramy.

— A kędy będą grać?

— Na wysokiéj bramie, u fary, u Franciszkanów.

— A pójdziesz téż tam?

— Pójdę, by mi się spadać (spękać).

— I jabym rad szedł, ale nie śmiem.

— A po niemiecku będą grać, czyli po łacinie?

— Ja tak rozumiem, że będą po niemiecku, bo wczoraj grano po łacinie.

— A widziałeś?

— Widziałem.

— O czémże było?

— O jednéj pewnéj cesarzowéj, jako ją z dwojgiem małych dziatek na nędzę wygnano.

O niektórym francuskim królu, jak ubogą dzieweczkę pojął.

O królu Dawidzie i o wielkim olbrzymie Goliacie.

Jako go Dawid zabił i głowę mu ściął.

O Herkulesie, jako się wściekł (oszalał) i własną żonę i dzieci zabił.

O Danielu, jako go do lwiéj jamy wrzucono.

— A było téż tam wiele ludzi? Było jeszcze miejsca dosyć?

— Tak tam ciasno było, że o mało nie omdlałem. Wiele ludzi musiało nazad wrócić. Nie żal mi mego grosza, com go dał.

— Powiedz mi jakoż tam było?

— Któż może wszystko pamiętać.

Jednéj pani bardzo pięknie przystało, umiała się tak żałośnie stawić, przysiągłby kto, że to szczéra była prawda.

Byś był widział, jaką krotochwilę gbur, błazen i szalbierz tam stroili, zdechłbyś był od wszystkiego śmiechu.

— Podobnoś się błaznom pilniéj przypatrywał, niżeli czemu inszemu. A nie pamiętasz więcéj? — Dajże mi znać, kiedy zaś będą grać.

— Dobrze, przyjdę do ciebie.

Dziwną się dzisiaj wydaje taka rozmowa, inaczéj dzisiaj teatr wygląda, a jednak istota rzeczy jest tu bardzo dobrze uchwyconą i pozostała tą samą, prócz, że teatr wyzwolił się z kościelnéj opieki. Idzie o przedstawienie ludzi i ludzkich czynów, szczęścia i nieszczęścia, cnoty i zbrodni — a naukę moralności sama sobie publiczność wydobywać powinna. Przedstawienie szczeréj prawdy, tak treścią jak i grą, postawienie przed oczy publiczności zwierciadła uczuć i charakterów, słabości i stałości i całéj nigdy nieprzebranéj plątaniny zabiegów ludzkich jest to zadanie o ile trudne, o tyle i wdzięczne, gdyż żadna inna sztuka nie może się nigdy cieszyć takim udziałem publiczności jak teatr. Jest bowiem najprzystępniejszym i najzrozumialszym, gdyż ludziom, żywych ludzi przedstawia, a nadto wzywa do pomocy i podniesienia wrażenia wszystkie inne sztuki, malarstwo, rzeźbę, architekturę, muzykę. Co obudza wielki udział, musi i wielki wpływ wywierać, jestto następstwo konieczne, Dlatego nie można się dziwić, że wielcy mimicy po wszystkie czasy nierównie silniéj entuzyjazmowali publiczność jak np. malarze lub rzeźbiarze. I jestto sprawiedliwém — po tamtych zostają dzieła, które i potomność podziwia — talent dramatyczny kończy się z życiem artysty, a więc za obecność i za przyszłość należą mu się hołdy — bo godność wszystkich sztuk jest jednaka. Cieszymy się więc, że Panią Modrzejewską Warszawa uczciła jak należy, oddając przez to sprawiedliwość i artystce i scenie, na któréj talent swój do dzisiejszéj wysokości rozwinęła; cieszymy się daléj, że z powrotem jéj rozpocznie się dopiero właściwy tegoroczny kurs teatralny. Dotąd bowiem w repertoarzu nie było kierunku, nie było dążności, którahy była godnym dalszym ciągiem zeszłorocznego kursu. Były przedstawienia, w których strojono krotochwile, pojawił się Fredro, nawet i nowe sztuki i nowi artyści — z tém wszystkiém jednak tylko pojedyńcze role się odznaczały (jak Pitt, Łatka, Mauprat p. Rapackiego, kilka ról pp. Wolskiéj i Aszpergerowéj), ale całość każdéj reprezentacyi kulała na brak reżyseryi i na słabą obsadę. Czas ten można uważać jakeśmy to już raz powiedzieli za przejściowy i za szkołę dla młodszych artystów. Odtąd mamy nadzieję, że i repertoarz i gra w całości ułoży się odpowiednio do tradycyi, jaką już nasza scena posiada, że więc będzie warto ściśléj przedstawienia rozbierać.

Występy p. Modrzejewskiéj w sztukach już granych i już przez nas ocenianych, pozwolą artystom tymczasem uczyć się sztuk nowych. Niebawem mają się ukazać: „Dzisiejsi“, Wład. hr. Koziebrodzkiego — na dochód kasyna artystycznoli-terackiego „Dwaj Radziwiłłowie“, hist. komedyja Ad. Bełcikowskiego, którego utwory „Król Don Żuan“ i „Tarło“ na konkursie lwowskim zaszczytnie ocenione zostały. Spodziewamy się téż, że dyrekcyja postara się o przedstawienie „Żyda“, konkursowego dramatu E. Lubowskiego.

Kronika. — List, czyli na złodzieju czapka gore. — Przyjemności zimowe ślizgawki. — „Dosiego roku“.

Szanowny Kronikarzu! „Wczoraj skończywszy u Leona zwyczajną pulkę preferansika, która przeciągnęła się do pierwszéj w nocy — ale tylko z téj przyczyny, że Pan Mikołaj wpadł trzy razy na dziewięć bez atutu — poszedłem do domu, by pochwaliwszy Pana Boga — oddać się spoczynkowi. Idąc po schodach sprawowałem się cicho, by nie obudzić mojéj zacnéj małżonki, z którą przez trzydzieści lat żyjąc, najwyższemu Bogu chwała, widziałem w niéj zawsze wzór niewiast. Myślałem, że gołąbka moja dawno już Morfeuszowi podległa — z największą więc spokojnością otwieram drzwi do salonu — aliści — oniemiałem! Panie kronikarzu mówię ci wyraźnie — oniemiałem. Wyobraź sobie co widzę — oto nie mniéj ani więcéj, jak moją towarzyszkę życia, która trzymając dziesięć kart w ręku, z cygarem w ustach dysponuje 8 bez kozery!... Dym w salonie był tak gęsty, że nie prędko mnie pani spostrzegła — podsłuchałem więc, jak zmawiały się na pierwsze polowanie tegoroczne u pani Marcellowéj, a następnie wyjeżdżają pod biegun polarny na białe niedźwiedzie.

Powiedziałem „dzień dobry“ raz i drugi, lecz w zapale gry nie słyszały mnie. Usiadłem sobie przy bocznym stoliku i począłem obracać w rękach jakąś gazetę, która tam leżała. Po chwili spostrzegłem, że to Kalina; zdziwiłem się mocno, gdyż słyszałem zawsze, że to pismo czerwone, a tu widzę papier biały, a litery czarne. Z nudów począłem czytać, nie mając co lepszego robić. — (Bo zresztą, to przyznam się panu, uważam, że czytanie należy do kobiecego gospodarstwa i ja się tam w to nie mięszam, nawet czasu nie mam; a zdarzy się co w polityce, to się od lada kogo dowiem). Ale cóż ja tam nie wyczytałem! Teraz mi się wszystko rozjaśniło. A toć to pan buntujesz w Kronice nasze anioły i namawiasz do kart i cygar. Patrz pan, coś narobił — już i na polowanie się wybierają. To jeszcze przyjdzie do tego, że założą osobne kasyna dla siebie, a z nami tak się stanie, jak to raz widziałem w teatrze, że żony odbywały rady na ratuszu, a mężowie kołysali niemowlęta! Zmiłuj się Sz. Kronikarzu, co robisz — dokąd idziemy!?... A możebyśmy pogadali o tych kwestyjach — co? może jutro na śniadanko u.... Łączę wyrazy szacunku“.

J. T.

Przytoczyłem ten list na czele, chcąc dać dowód bezstronności. Niech każdy sam sobie osądzi, kto tu winien — ja idę daléj.

Oto ze wszystkich stron dochodzą mnie wiadomości o różnych zabawach i przyjemnościach zimowych. Więc odgrywają się teatra amatorskie, a z amatorów nierzadko stają się amanci. Więc koncerta, więc odczyty, póki jeszcze adwent trwa, a na karnawał jakie plany! że już teraz w głowie się zawraca. Wieczory muzykalne Kasyna art.-literackiego rozwijają się coraz wspanialéj; i muzyka, i śpiew i świetne towarzystwo — a wszystko tak jakoś szlachetnie, naturalnie, że takich wieczorów, jak to słusznie glos powszechny utrzymuje, nigdy jeszcze Kraków nie miewał.

Zanim jednak karnawał nogi do pracy powoła, nie zaszkodziłoby przygotować się do téj corocznéj pańszczyzny, skoro jest na to sposób wielce dla zdrowia pożyteczny. Jakkolwiek dotąd deszcz i wiatr tylko zimę udają, można się spodziewać, że w sferach niebieskich porządek zapanuje i nastanie śnieg i mróz, a zatem rzeki i stawy zamarzną. Otóż tedy otworzą się ślizgawki. Jest to wyborna gimnastyka dla całego ciała, gdzieindziéj są już towarzystwa zajmujące się najmem i urządzeniem ślizgawek. Byłoby arcypożądaném, żeby te ćwiczenia weszły u nas w zwyczaj; jest to przyjemność, hartowanie się, pomaganie obiegowi krwi — a dalibóg nie zaszkodziłoby, żeby nam w ogóle krew trochę szybciéj krążyła, i żeby nam serca trochę żywiéj biły. Za ożywieniem i podniesieniem zdrowia, idzie koniecznie ożywienie i rozruszanie umysłu, to nie ulega wątpliwości. Więc nie dla mody i nie dla emancypacyi, ale dla pożytku radzibyśmy widzieć panienki nasze ślizgające się np. po zwierzynieckich stawach. Przypominamy tę sprawę nauczycielom gimnastyki.

Zanim się zobaczymy w Nowym roku — przyjmijcie tymczasem Sz. Czytelnicy życzenia Dosiego roku — i obdzielmy się nawzajem dobrém słowem, jak opłatkiem.

*** Na ostatniém właśnie odbytém zebraniu **zarobkowego stowarzyszenia kobiet** w Wiedniu zdawano sprawę z czynności w ostatnich miesiącach. Najważniejszą jest założenie nowéj handlowo-przemysłowéj szkoły dla dziewcząt — o któréj jużeśmy wspominali. Uczennic jest 119. W szwalni udzielają miesięcznie 400 lekcyj szycia na maszynie. Wyrobem kopert zajmuje się 45 dziewcząt, dostarczają dziennie 100,000 kopert, a zarabiają tygodniowo 5—7 guldenów. W szwalni rękawiczek, która od lutego 80 dziewcząt utrzymuje, uszyto w ostatnich 5ciu miesiącach 3221 par — i podniesiono zapłatę o 2 centy od pary. Cała instytucyja rozwija się pomyślnie. Dotąd przewodniczyła jéj pani J. Laube, żona słynnego pisarza i dyrektora teatru.

*** Na **zjeździe kobiet** w Sztutgardzie, o czemeśmy już donosili przyjęto następujące uchwały: Uznano potrzebę działania przeciw dziwactwom mody i wyznaczono komisyą dla reformy ubiorów. Postanowiono towarzystwa dobroczynności zamieniać na zarobkowe, ażeby siły pracujące podnieść, zachęcić do przemysłu, a nie poniżać ich jałmużnami. W sprawie wyższego wykształcenia kobiet polecono wydziałowi czynić starania u gmin i rządów w celu zakładania gimnazyjów i wyższych szkół żeńskich. Odnośnie do prawnéj opieki nad przemysłem kobiecym postanowiono starać się u rządów i ciał prawodawczych, ażeby praca kobiet, jeżeli jest równie dobrą, jak mężczyzn, równą też pobierała zapłatę. W celu ulepszenia losu kobiet po więzieniach postanowiono starać się o cele odosobnione i o wolność zajmowania się odpowiednią pracą umysłową i ręczną.

*** **W sprawie równouprawnienia.** — Stan Wisconsin (w Ameryce północnéj) nadał kobietom pełne prawa polityczne. Z powodu tego stary kaznodzieja K. Hainze wystąpił z kazaniem, w którém mówił między innemi: „Nierozważna, drobiazgowa, niewolnicza uległość, więcéj nawet, bo religijny zapał, z jakim kobieta hołduje modzie i z całym ogniem serca dokonywa najszkaradniejszego nawet zeszpecenia się, dowodzi braku samodzielności bezmyślności i niesłychanie zmiennego usposobienia, po których to przymiotach poznajemy właśnie dzieci, lub dzikich. Nietylko napółdzika murzynka, lub pokojówka, która dla szyku i tonu szepleni, nie, nawet delikatna lady, która studyjowała po akademiach estetykę i astronomiję i z zamiłowaniem czytuje klasyków; nie mogłaby żyć, gdyby sobie nie przypięła gałganka dostrzeżonego zaledwie przed godziną na innéj kobiecie. Cóż dopiero mówić o owych pokrywach na głowę, zesuniętych do pół twarzy, o owych wiechach ustawionych z włosów, jak gdyby na bal maskowy u Hottentotów! Zaprawdę mimowoli przychodzi ochota uważać wszystko

za złudzenie, cokolwiek nam mówiono o dowcipie i smaku kobiecym i uznać za waryjatów tych, którzy te maszkary chcą wprowadzić w podwoje państwowe". Jakiż to zacięty sąd i to u starego — a może właśnie dla tego, że u starego!

*** W zeszłym roku uczęszczała jako gość na medycynę w Wiedniu rosyjanka Nadidia Suslawa, poczém uzyskała stopień doktorski w Zürichu. Obecnie zapisała się tamże na kursa chorób uszów — 19letnia Mis Laura N. córka adwokata z Nowego Jorku. Poprzednio kształciła się prywatnie, obecnie zamierzyła sobie wykształcić się na specyjalistkę w leczeniu uszów. Jestto osoba miła, skromna, naturalna; uczęszcza na lekcyje bardzo pilnie i oprócz kursów z otiatryki, słucha anatomii, patologii i pracuje w sali sekcyjnéj. Koledzy jéj przyzwyczaili się już do niezwykléj obecności kobiety pomiędzy niemi, a to tem bardziéj, gdy przy operacyjach okazuje wiele zręczności i pewności, obok delikatności i czystości.

*** Wyszła w osobném odbiciu monografia: „**Wacław z Potoka Potocki**" przez Dr. Ad. Bełcikowskiego. Jest to studium literackie opracowane z gruntowną dokładnością i z całym powabem stylu. Dopiero kiedy wszystkie wybitniejsze postacie literatury naszéj doczekają się takiego szczegółowego opracowania, będziemy mogli myśleć o dobréj historyi literatury. Prace tego rodzaju Węclewskiego, Siemieńskiego, Małeckiego, Bełcikowskiego itd. są więc arcypożądane.

*** **Teofil Lenartowicz** nasz serdeczny skowronek mazowiecki wystąpił ostatniemi czasy jako rzeźbiarz. Płaskorzeźbę jego: Pochód Izraelitów z arką przymierza, chwalą bardzo dzienniki zagraniczne przyznając mu prawdziwy talent. Nietylko jednak talent skłonił poetę do uchwycenia za dłuto, były tam widać i inne ciężkie powody, o których sam mówi w liście, z którego wyjątek tutaj przytoczyć sobie pozwalamy: „*O moim nowym zawodzie dość gadania. Ot mam nadzieję, że jeśli pójdzie dobrze, to mi to pozwoli swobodnie potém oddać się wykończeniu pozaczynanych prac moich literackich*". — Z tych kilku słów dowiadujemy się bardzo wiele — raz, że poeta znajduje się w położeniu niezbyt świetném, że prace literackie warunków życia mu nie dają — a powtóre, że niebawem nowemi pieśniami nas obdaruje.

*** **Powieści dla dzieci polskich**, przez Wołyniankę. Pod tym tytułem wyszła niewielka książeczka, nowéj jak się domyślamy autorki. Jeśli nasze przypuszczenie jest prawdziwém, jeżeli to jest pierwsza próba pracy, w trudnym, choć przez wielu lekceważonym i często przez niepowołanych wyzyskiwanym rodzaju piśmiennictwa, to po pracach Wołynianki prawdziwego pożytku i korzyści dla młodego pokolenia oczekiwać należy. Dwanaście powiastek zawartych w tym zbiorku, językiem czystym i poprawnym, w formie najprostszéj i najprzystępniejszéj, starają się zaszczepić w sercach młodych czytelników szlachetne uczucia, rozsądne przekonania i właściwy pogląd na rzeczy. Co do wyboru przedmiotów przyznać należy autorce wiele oryginalności, posuwającéj się niekiedy aż do wytaczania przed *forum* dziecięce spraw i pojęć, bardzo prawda żywotnych, niezmiernie doniosłych, ale zostających zupełnie po za obrębem dziecięcego świata. Tak np. w powiastce „Sen" autorka rozstrzyga kwestyją, czy orężem, czy modlitwą Polskę zbawiać należy; w innéj p. n. „Przesądy", walczy z przesądami rodowemi, a w powiastce „Żywa lalka" w sposób wprawdzie bardzo zręczny, ale w żadnym razie nienaturalny w dziecku, które się lalką jeszcze bawi, wchodzi w sferę najwyższych filozoficznych zagadnień, jakie tylko zwątpiałéj duszy człowieka, co wiele przeżył i wiele myślał, przedstawić się mogą. I te jednak przedmioty, przyznać należy, przedstawione są tak przystępnie i jasno, że zrozumiałość wykładu osłabia lub obala prawie zarzut, jakibyśmy autorce z tego, że ich dotknęła uczynić mogli. Ważną ich zaletą jest, że zamiast przedstawiać złe, ażeby od niego odstręczyć — co w dziełkach tego rodzaju jest dość pospolitą metodą — przedstawiają dobre z celem zachęty do niego. Z tego też względu dziełko to, pisane jak widać z dedykacyi, przez matkę dla własnéj dziatwy, sumiennie matkom polecić możemy, na podarki kolendowe.

*** Dzieła *J. Gordona* wyszły w nowych wydaniach:

1) **Obrazki caryzmu**. Pamiętniki. — Biblioteka pisarzy polskich, Tom VI. Lipsk, Brockhaus, 1863.
2) **Soldat**. Nowe pamiętniki. — Biblioteka pisarzy polskich, Tom XXXIII. Lipsk, Brockhaus, 1865.
3) **Kaukaz**, czyli ostatnie dnie Szamyla. Powieść historyczna. Biblioteka pisarzy polskich, Tom XXXIV. Lipsk, Brockhaus, 1865.
4) **Przechadzki po Ameryce**. Berlin, Behr, 1866.
5) **Podróż do Nowego Orleanu**. Biblioteka pisarzy polskich, Tom XLVIII. Lipsk, Brockhaus, 1867.
6) **Obrazy galicyjskie**. Sanok, Pollak, 1869 (na ukończeniu druku).
7) **Meine Kerker in Russland** (przedruk z Wanderer'a). Leipzig, Kollman, 1863.
8) **Sechs Jahre in Orenburg**. Dresden, Wolf, 1864.
9) **Mes Prisons**, ou l'exil en Sibérie. Genève, Cherbulier, 1862.
10) **Soldat** w przekładzie czeskim, z portretem autora. W czasopiśmie illustrowaném: „Zlata Praha", 1864.

*** **Dyetetyka dzieci — oparta na wskazówkach przyrody**. — Lwów 1869. nakładem K. Wilda. — Popularnym i dosyć zajmującym stylem, o ile na to treść przedmiotu pozwala — autor przeprowadza rady swoje względem dyetetycznego wychowania dzieci, od niemowlęctwa aż do wieku dojrzałego. Sposób zapatrywania się na kierunek wychowania młodego pokolenia, w zastósowaniu do naszego klimatu i zwyczajów — stawia to dziełko bardzo na dobie. Ileż to bowiem młodych matek, doświadczeniem nieraz smutném i dotkliwém, przypłaca brak wiadomości, jakich wymaga koniecznie wychowanie fizyczne dzieci. — „Boć jeżeli roślina pielęgnowana w cieplarni wygląda inaczéj, aniżeli taż sama roślinka wyrastając dziko, wystawiona na słoty i burze, skwar słońca lub zimno — toż i pielęgnowanie dziecka właściwe lub niewłaściwe ma niezawodnie wpływ nietylko na jego zdrowie ale i na całą przyszłość późniejszego człowieka". — Temi mniéj więcéj słowy autor dowodzi we wstępie konieczności pewnéj kompetencyi w przedmiocie wychowania dyetetycznego dziatek. Dla tego dziełko to powinno znaleść się w rękach wszystkich naszych matek — którym takowe polecamy zapewniając je, że znajdą tam wszystko, czego wymaga miłość i troskliwość matki, aby wychować dziecię na silnego i zdrowego człowieka.

*** Delegat centralnego zarządu **Stowarzyszenia oświaty ludu** p. Mieczysław hr. Dzieduszycki zawezwał do tymczasowego zarządu **filii dla miasta Krakowa** sześciu współobywateli, którzy

następnie czynnościami się podzielili: Przewodniczący p. M. Dzieduszycki, kasyjer X. Waleryjan Serwatowski, sekretarz p. Dankowicz (kaznodzieja zboru izraelickiego); PP. Wład. Anczyc, Fortunat Gralewski, Alfred Szczepański, Żegota Wywiałkowski porozbierali pomiędzy siebie resztę czynności, jakoto: kolektorstwo, księgarstwo, zarząd zakładanych czytelni, kolpoteryę. O działaniu filii będziemy pilnie donosić.

*** Od Nowego roku ma przybyć kilka nowych czasopism polskich, a mianowicie: w Poznaniu **„Sobótka“** tygodnik ilustrowany; we Lwowie **„Mrówka“** tygodnik literacki — **„Biblioteka“** powieści i romansów we Lwowie i w Warszawie.... Szczęść Boże! dobrego interesu trudno wróżyć, ale nie o to idzie. Byle się światło coraz szerzéj rozchodziło!

---

† W Poznaniu umarł Hipolit Cegielski — zrazu nauczyciel i pisarz, zwrócił następnie pracę swoją na pole przemysłu i zdołał założyć i rozwinąć najpierwszą w Poznańskiém fabrykę machin. Całém życiem służył wiernie ojczyźnie — zarówno czynnym udziałem w wypadkach politycznych, jak w dziedzinie nauki, jak i gorliwością w Towarzystwie naukowej pomocy i w Towarzystwie rolniczém. Niestrudzony i wytrwały jest on jednym z tych ludzi, którym należy się miejsce w polskim „Plutarchu“ i w księdze „Self Help“.

Cześć pamięci jego, któréj trwałość rzetelnemi zasługami jest zabezpieczona!

---

† W Warszawie umarł S. Orgelbrandt, zrazu antykwariusz uliczny, potem księgarz i zasłużony wydawca i milionowy bogacz. — W Paryżu umarł James Rothschild, potęga finansowa — i Rossini kompozytor, „łabędź z Pesaro“.

W biurze redakcyi można nabyć:

Izba rękodzielnicza w Krakowie (Projekt) . . . . egz. **10** c.
Artur Grotger — ustęp z dziejów sztuki polskiéj, przez *Alfreda Szczepańskiego* . . . . egz. **40** c.
(w księgarniach i ajencjach **50** c.)

Ze względu, że stereostypowe wydawnictwa dostarczają teraz nuty po znacznie przystępniejszéj cenie — nie widzimy potrzeby dalszego dodawania **nut do Kaliny** — i takowego od Nowego roku zaprzestajemy.

Zwracamy uwagę na ogłoszenie — że miejscowi krakowscy Prenumeratorowie prenumerować i odbierać będą odtąd „Kalinę“ **wyłącznie w księgarni Czecha.**

O zaginione Nra z ostatniego kwartału można się tylko do końca grudnia upominać.

Do Nru. dzisiejszego dołącza się Ogłoszenie przedpłaty na dzieło p. t.: „CZARNA KSIĘGA“.

Wydawca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Prenumerata miejscowa „Kaliny“ wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesełką pocztową: rocznie 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c.
Prenumerata zagraniczna: bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i kroje rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.
Nuty rocznie 1 25 c. — półrocznie 65 c. — ćwierćrocznie 35 c.
W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Jagiellońska 204, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu“ i księgarni Seyfart et Czajkowski przy głównym rynku.
W **Tarnowie** w księgarni M. Fenichla.
W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.
Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.
Reklamacje nieopieczętowane nie opłaca się.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1868.